

Rozmyślania przy telewizorze

168 Rzecz o szlachetnym umiarze

SZTAMBUCHY Maryll, imienniki Salomei Becu mają dla mnie zawsze urok romantyczny: albumy rodzinne pachną fin de sieclem. Są jednak albumy tragiczne, które, ożywione telewizyjną magią przywołują na myśl dni wcale nie białe, ale właśnie owe ciemne błoty i burze, o których pisał dwudziestopięcioletni Mickiewicz. I gdzie wcale nie ma księżyców, mandolin i kotów i wszystkich piękności mistrza Ildefonsa, ale jest gorzki smak przeszłych lat, które wbrew nierzad naszej woli chcemy ocalić od zapomnienia.

Więc dobry, dobry, bo mocny, mocny, bo oszczędny w słowach, oszczędny, bo dźwięk zastępujący obrazem program przygotowany przez Ryszarda Wójcika „Album przywieziony z wojny”. Znamy już dość sporo takich albumów i takich fotografów-amatorów, którzy pstrykali dla wdzięcznej pamięci swoich „Soldatenzeiten” i uciechy wiernych, przynajmniej w listach, żon scenki z okupacyjnego w Polsce życia: bywały już takie albumy świadkami oskarżenia, a my, choć dla nas bolesne, tradycyjni, choć tym razem z rozsądku rozdrapywacze ran, nigdy nie mamy dosyć. Młodzi ludzie, czego byłem już nieraz świadkiem, buntują się na widok pasiaków i kolczastych drutów na ekranach, ale oni buntują się także przed spożyciem gorzkiego lekarstwa. Lekarstwo jednak służy zdrowiu, a umiejętność rozpoznawania toksyn przyda się adeptom dzisiejszej medycyny.

Nie inne chyba intencje przyświecały autorom drugiego programu z owego „albumowego” cyklu — „Historii bez patyny”, gdzie, porzuciwszy myśl o jakiegokolwiek słownej interpretacji, realizatorzy ograniczyli się do fragmentów z kronik ówczesnych i albumowych dokumentów z Powstania Warszawskiego. I tym razem winniśmy im wdzięczność za poniechanie

wszelkiej łopatologii, albowiem miał tu swoją siłę obraz i swoją wymowę album bez podpisów.

I zaraz nasuwają się pamięci programy inne z ubiegłego tygodnia: „Tu mówi Chełm”, „Lubelskie spotkania” oraz Lubelczyka „Podróż w czasie”.

Zacznijmy od początku. O Chełmie, jak początkujący pianiści, zwykliśmy zaczynać od palców albo od akordów. Palcówki odkrywaliśmy w gazetach, akordy w kantacie, którą nam przy okazji w sposób wzruszający odegrano i odśpiewano. Tym razem realizatorzy prochu nie wymyślili i ograniczyli się do wywiadów z „przypadkowo spotkanymi” ojcami Chełma i świadkami tamtych dni, z których najprzedniejszy był watasz profesor, a także twórcy wspomnianej kantaty: innych, złowionych na ulicy słuchałem nieuważnie, zajęty obserwacją spacerów milicjantów na drugim tle i uciśnej reakcji gawiedzi.

Nie to chyba również miała na myśli, co ukazała w swoim lubelskim „Tele-Echu” Irena Dziedzic. Program ten zapoczątkował siedmiokrotne „lubelskie spotkania”, co TV czyni śladami „Polityki”: ale co wolno „Polityce”, nie godzi się telewizji i jeśli w ten sam sposób będzie się nam prezentowało zapowiedziane Kielce, Białystok i Olsztyn, trzeba zawczasu bić na alarm. Powtarzam: prezentacja Rzeszowszczyzny należała do pozycji bardzo udanych, ale entrée Lubelszczyzny przyjąć trzeba z niejakimi zastrzeżeniami. Czy nie lepiej pozostawić gospodarzom wolną rękę? Zbyt obsesyjne „żurawie” do kartki z pytaniami nie godzą się Irene Dziedzic, zbyt niewolnicze trzymanie się uświęconego schematu tele-ech nie może wyjść sondażem terenowym na zdrowie, albowiem uczyni miasto do miasta podobne i teren do terenu. A gdzie są legendy, ane-

gdoty, specjalności domu, ów smak niepowtarzalny krakowskich kiełbas, toruńskich pierników i zakopiańskich „oscypków”? Tak też bywa i ze specyficznym, terenowym materiałem, albowiem wszędzie podobni są rektorzy uniwersytetów i primadonny operetek, ale zupełnie inni są zwyczajni ludzie i inne powszednie troski i zdarzenia. Właśnie: ludzie i zdarzenia. Autorzy tego cyklu, aczkolwiek powtarzają się z Kaszubami i Neclem, powinni być dla wszelkiego rodzaju terenowych spotkań wzorem.

A jeśli już o historii mowa, teorię anegdoty historycznej przedstawił nam bardzo obrazowo (bo ilustrując ową teorię prawdziwą anegdotą o Anusi Orzełskiej) Karol Lubelczyk. Jego „Podróż w czasie”, to właśnie początek ekspozycji telewizyjnej mało znanych anegdot historycznych, początek smakowity, jeśli za nim pójdą programy inne.

KRONIKARZE mają szczęście, magazyny zielone światło, albumy z dawnych i nowszych czasów pierwszeństwo. „Pegaz” Grzegorza Lasoty zreferował pilnie ostatnie wydarzenia kulturalne kraju, w czym jego zasługa, albowiem o taką sumienność trudno podejrzewać nasze zbyt rozteoretyzowane periodyki kulturalne, trzeba przyznać, że kamera telewizyjna jest tu sprawa wzdawca znacznie bardziej wdzięcznym, choć nieco powierzchownym. Wydaje się, że mała próba samodzielnego osądu kulturalnych wydarzeń, zwłaszcza dzieł artystycznych bardzo by się tu przydała. Niestety, krytyka kulturalna w telewizji jest w stanie embrionalnym: przed spektaklami teatralnymi wysłuchujemy panegryków, po wydarzeniach kulturalnych komunikatów. Tertium non datur, co znakomicie sprzyja dezorientacji telewizja. Milczenie nie jest synonimem

szlachetnego umiaru. Cykl (magazyn?) „Z filmoteki XX-lecia” zaznajomił nas znakomicie z czołówką polskich realizatorów filmowych. Niestety i tutaj prowadzący wywiady (z wyjątkiem KTT) są raczej panegirzystami, za nic mając sobie oceny krajowej i nie tylko krajowej krytyki, a o szlachetny umiar trudno posadzić twórców filmowych, jak chociażby ostatnio Kutza, który wzruszeniem ramion zbyt zarzuty pod adresem niektórych jego, naprawdę słabszych filmów, twierdząc, że nie został zrozumiany. Szlachetny umiar nie zawsze jest również udziałem sympatycznych, młodych ludzi, produkujących się w „Protonie”, mimo pożarniczych iście wysiłków prowadzącego program red. Barszczewskiego. Nie najlepiej też brzmiał nazminne „tykanie się” w tym magazynie: ostatecznie telewizja mało obchodzi, kto z kim wypłt bruderszaft, ma on na ogół z tymi panami pierwszy raz przyjemność. Ale kto z nas w młodych latach bywał skromny? Słowo to zresztą w polskim języku ma zbyt obszerne znaczenie.

Nie raz już biadałem z racji magazynowej inflacji. Mamy magazyn „Kłaps”. Ostatnio miał zamiar wylegnąć się we Wrocławiu nowy magazyn nowości technicznych „Cieniem malowane”. Nie był ten magazyn malowany cieniem tylko pasami oraz planszą „Prosimy nie regulować odbiorników”. Stąd prosty wniosek: magazyny nowości technicznych w naszej TV winny przybrać nazwę „Kłops”. Zwłaszcza w wigilię Olimpiady, kiedy to pospieszą polskim kibicom różne Synomy i odrzutowce i udowodni się stara prawda, że bliżej jest z Warszawy do Tokio, niż do Wrocławia.

„Dramat — metafora” Maxa Frischa „Biedermann i podpalacz” był jeszcze jednym przykładem, że teatr TV wszedł już w pełnię sezonu, dając spektakle starannie opracowane, wyrównane i kontynuujące ambitną linię repertuarową. Nie najnowszy pomysł przedstawienia na przykładzie filisterskiej rodziny mieszczańskich wielkich wstrząsów politycznych, których udziałem stało się społeczeństwo Europy, a zwłaszcza

Niemiec międzywojennych, tu zyskał jeszcze jedno wcielenie sceniczne o kameralnych wymiarach; przy czym absurdalność sytuacji pokryta została warstwą groteski. Walnie temu zamierzeniu reżysera Erwina Axera pomogli wykonawcy czołowych ról: dobroduszny Gottlieb Biedermann — M. Pawlikowski, jego żona Babette — B. Ludwiżanka, M. Czechowicz jako podpalacz Schmitz i A. Łapicki, jako jego kolega Elsenring. Spełniający rolę swoistego greckiego chóru zastęp strażaków podkreślał umowność całej fabuły. Była to droga reżysersko najślusniejsza, droga, która potrafiła odkryć bez zbyt zawiśniętych metafor mechanizm przewrotu hitlerowskiego, choćby nawet dwu jego bohaterom zabrakło charakterystycznych cech prawdziwych podpalaczy tamtych lat.

Tydzień temu nie szczędziłyśmy komplementów pod adresem Starszych Panów, którzy tymczasem zadebiutowali niezbyt szczęśliwie w filmie. Tym przyjemniej stwierdzić, że nadeszły dobre czasy dla telewizyjnej satyry i rozrywki. Tym razem zawołował miliony widzów Jerzy Gruza swoim „Poznajmy się”: ma jednak dobrane pomysły show i u nas perspektywę. Pod nieobecność „szefa” Kobieli Jacek Fedorowicz błysnął doskonałą formą, program roł się od oryginalnych pomysłów, szczęśliwych gagów i był istną beczką niewymuszonego humoru. Jeśli po Starszych Panach odezwały się poważne głosy, domagające się monografii ich kabaretu, myśle, że „Poznajmy się” jest znakomitym zaprzeczeniem takiej monografomani, po prostu jako drugi biegun telewizyjnego humoru. Świetna zabawa na sobotni wieczór, kiedy chce się śmiać, a nie chce myśleć, chociaż przygotowanie takiej zabawy jest także swoistym majstersztykiem.

SZLACHETNY umiar objawił jeden z uczestników ostatniej „Wielkiej gry”, który, gdy mu przyznano słusność, dokonał rachunku sił i zrezygnował z dalszych, ryzykownych rozgrywek. Nie każdy tak potrafi w naszym narodzie szwależerów.

LESZEK GOLIŃSKI